

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

Biuro gal. Towarzystwa łowieckiego: ulica Jagiellońska l. 3, II. piętro.

W sprawie słownictwa łowieckiego.

Największą, najdroższą skarbnicą narodu jest jego język, gdyż jest on wyrazem jego rozwoju i kultury, jest nadto on żywem słowem przechodzącem z pokoleń do pokoleń, a więc nicią serdeczną łączącą przeszłość z teraźniejszością, jest plonem wiekowych prac kulturalnych narodu i jako taki jest puklerzem, który broni naród przeciw zgubnym obcym wpływom zewnętrznym, przeciw wynarodowieniu.

My, mimo przeszło wiekowej niewoli, mimo najstraszniejszych prześladowań, nie przestaliśmy się czuć ani na chwilę Polakami, język nasz, ten anioł stróż naszych narodowych uczuć nie zaznaczył najmniejszego upadku, owszem rozkrzewił się i uszlachetnił i jest dzisiaj jedną z najpiękniejszych pereł w duchowym skarbcu kulturalnych narodów.

Śliczny ten język Reyów, Kochanowskich, Mickiewiczów i Sienkiewiczów jest silną spójnią łączącą wszystkie trzy zabory i jest puklerzem naszym przeciw zapędom, mającym na celu nasze wynarodowienie.

To też utrzymanie i pielęgnowanie czystości języka jest najświętszym obowiązkiem, tak całego naszego społeczeństwa, jak i każdego pojedyńczego jego członka.

Łowiectwo polskie, jako ulubione zajęcie rycerskich naszych przodków, ma jak i obce społeczeństwa łowieckie bogatą swoją gwarę, terminologię, której dotąd jednak nikt dokładnie nie zebrał i nie nadał jej form skończonej całości. Jedyną pracą realniejszą około słownictwa łowieckiego polskiego są drukowane w Łowcu przed laty 30-stu pierwsze początki terminologii łowieckiej przez K. Kozłowskiego wydane w Warszawie w roku 1822. Pracowali również nad tą doniosłą sprawą w pierwszej połowie ubiegłego wieku, Józef Dunin Borkowski (o polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim) Lucyan Siemieński w „Przywodniku myśliwskim 1848. Bobiatyński, Reuman, Kurowski i inni. Z dawnych łowieckich autorów dzieł bogatych w gwarę łowiecką, dzieł, które służyły za podstawę do opracowania wpomnianemu wyżej Kozłowskiemu jego „Pierwszych początków“, jak również służą do dziś dnia za fundament do przyszłej pracy nad uregulowaniem słownictwa łowieckiego wymienić musimy Piotra Krescentyna (Księgi, Kraków 1549) Mateusza Cygańskiego (Myślistwo ptasze Kraków 1571 i Ostroroga (Łowy z Ogary Kraków 1648). Z autorów nowszych na szczególną uwagę zasługuje Wodzicki, który w wszystkich swych pracach, a szczególnie w „Sokolnictwie“ (Warszawa 1868) starał się wyrażeń łowieckich polskich, jaknajwięcej zebrać.

Wobec postępu wiedzy ludzkiej i kultury, zmiany pojęć i stosunków społecznych, w obec wreszcie ogromnego postępu, jakie zrobiła technika rusznikarska, łowiectwo zrobiło też naprzód krok olbrzymi. W świecie myśliwskim weszły w życie nowe zupełnie stosunki, rozpostarły się nowe horyzonty, urodziły się nowe pojęcia etyczne i praktyczne. Powstało wiele nowych wreszcie przyrządów myśliwskich, które trzeba było koniecznie po łowiecku nazwać, z drugiej zaś strony, stare wyrażenia cytowane z dzieł Cygańskiego, Krescentyna lub Ostroroga poszły w zapomnienie lub przestarzały się i często nie zgadzają się z duchem nowoczesnego polskiego języka.

Weźmy naprzykład terminologię łowiecką jelenia i łowów na tego zwierza, łowów znanych u nas dopiero od lat kilkadziesięciu a łowów, które są dumą dzisiejszego naszego krajowego łowiectwa. Zupełnie nam jej brakuje. Myśliwi nasi w braku wyrażeń swojskich, biorą potrzebne, gotowe wyrażenia od Niemców, którzy łowy na jelenie znali o wiele dawniej od nas i ztąd biorą się w naszej gwarze rozmaite *Platzhirsche, i Beihirshe, Brunftplätze, Grandle Tritty* i Bóg wie, jakie jeszcze dziwolągi obce nam brzemiem i pochodzeniem.

I tak wszechwładny germanizm wciska się do nas natrętnie i kazi nam mowę ojczystą, a my bezwiednie a raczej z konieczności dajemy mu prawo obywatelstwa.

Galicyjskie Towarzystwo łowieckie, stojące na straży krajowego łowiectwa, musi też stać na straży czystości polskiego języka łowieckiego.

Od początku istnienia organu naszego „Łowca“, staramy się wykorzeniać wyrazy obce ze szpalt naszego pisma i zastępować je swojskimi. Udało się to nam już po większej części, lecz często w braku swojskiego wyrażenia, musimy pozostawić wyraz obcy.

Słownictwo więc łowieckie zawierać musi prócz wyrazów starych już używanych i przyswojonych całą falangę wyrazów nowych, mających się dopiero stworzyć, wyrazów zgodnych z duchem naszego języka.

I w tem polega głównie trudność uzupełnienia słownictwa łowieckiego.

Wydział Gal. Towarzystwa łowieckiego już kilkakrotnie próbował rozpocząć tę arcytrudną sprawę, gdy jednak wszelkie usiłowania, zebrania potrzebnych komisyi, jak również i porozumienia się z innemi czasopismami polskiemi, fachowemi pozostały bez skutku, przystępuje niniejszem do pracy sam, obierając sobie drogę do celu najkrótszą, licząc na poparcie całego społeczeństwa łowieckiego.

Program naszej pracy jest następujący:

1. Ogłosimy drukiem terminologię wyrazów łowieckich, jaką już posiadamy, przyczem usilnie prosimy czytelników naszych ze wszystkich części Polski o nadsyłanie nam znanych im wyrazów w gwarze myśliwskiej czy to ludowej będących.

2. Będziemy drukować w poszczególnych numerach „Łowca“ kwestyonaryusze na oznaczenie brakujących nam wyrazów grupami, które obejmą poszczególne zwierzęta łowne, przyrządy i sposoby łowów, n. p. jeleń, broń etc. z podaniem odnośnych wyrazów niemieckich z prośbą do naszych czytelników, by przysyłali nam wyrazy nowe, według ich przekonania najstosowniejsze.

3. Po otrzymaniu odpowiedzi zwołamy ankietę do której zaprosimy ludzi fachowych, a więc znanych myśliwych i językoznawców w celu ostatecznego uregulowania sprawy.

4. Z wyrazów już używanych i nowo stworzonych ułożymy alfabetyczny słownik wyrazów łowieckich, który do użytku naszego społeczeństwa oddamy.

Sprawa ta do przeprowadzenia trudna i dużo będzie wymagała czasu.

Ufamy jednak, że członkowi nasi zdają sobie tak, jak i my sprawę z doniosłości dziś przez nas zaczętej pracy i że usiłowania nasze skutecznie poprą.

Z życia wilków karpackich

skreślił

Jan Marcinków

delegat pow. dolińskiego.

(Dokończenie.)

Przychodzę więc nad potok, widzę trop wilczy i farbę, ale o wilku ani mowy niema. Gdzież się wilk podział?

Chodzimy więc, szukamy, innych tropów niema tylko ten jedyny wilczy widać, jak z góry potokiem zeszedł, ale ani na dół, ani też nigdzie na bok nie poszedł. Obcinamy naokoło, wilk nigdzie nie wyszedł, gdzież jest?

Postanowiłem tedy wrócić za tropem do góry, może jakoś przeskakiwał wilk potokiem po kamieniach, że tropów nie widać, strażnikom zaś poleciłem iść potokiem na dół ku rzece.

Uszedłszy spory kawał drogi do góry potokiem i widząc, że wilk w górę nie poszedł, zawróciłem na dół potokiem do miejsca, gdzie ostatni ślad w potoku się kończył. Przyszedłszy znowu na miejsce, gdzie ze strażnikami ostatnie ślady wilcze obserwowałem, spostrzegłem ku memu nie małemu ździwieniu, że postrzelony wilk zapchał się był pod niepokaźną, zgniłą kłodę nad potokiem tak misternie, że nikt nie mógł go tam zobaczyć, i że już z pod tej kłody wyruszył, maszerując na dół potokiem.

W tej chwili odciągnąłem kurki i pospieszam w galopie, aby wilka dogonić, tymczasem słyszę na dole, niedaleko już rzeki dwa strzały strażników.

Jestem więc pewny, że wilk leży....

Przychodzę więc ku strażnikom, a ci kręcą się, jak niepyszni, śledząc za tropami wilka, w którą stronę uszedł i gdzie się podział.

Zapytuję tedy, co się stało, niestety odpowiedź brzmiała śmiesznie i niepomyślnie!

Wilk postrzelony wylazł z nienacka na strażników, na kilka kroków a ci ze strachu, że ich może „zjeść", chybili go zupełnie.

Porwała mię więc wciekła pasya, że wilka na dwa kroki spudłowali, i poszedłem dalej tropić, co się z nim stało. Wilk pomaszerował do rzeki, tam przebrnął i hajda dalej na przeciwną stronę w las.

A że marcowa woda z lodem i śniegiem nie jest bardzo przyjemną do kąpieli nóg, poleciłem tedy strażnikowi B., za karę i na ochłodę jego strachu, by przemaszerował czemprędzej rzekę Mizunkę, która nie tak bardzo była głęboką i podążył czemprędzej za wilkiem z moją strzelbą.

Tak się też i stało, za chwilę był strażnik B. już za rzeką a o parę minut później padł strzał, którym strażnik wreszcie wilka dobił.

Wilk miał tylko jedną kulę t. j. pierwszą z poprzednich 5 strzałów -- która mu przeszyła kiszki na wylot.

Ten sam wilk na kilka tygodni przed swą śmiercią chciał mi towarzyszeć raz nocą w powrocie z Mizunia do Sołotwiny, ale jakoś mu to nie szło.

Wracając mianowicie około 11-tej w nocy przy cudnem świetle księżyca z polowania do domu, miałem przy sobie psa gończego na dziki, który tuż za sankami biegł.

W połowie drogi zaczął pies naszczekiwać, podobnie jak na wilka, jednakowoż wilka nie mogłem nigdzie spostrzedz.

Dopiero po kilkogodzinnej jeździe zobaczyłem, że za sankami w tyle, o jakie 200 — 300 kroków drepcze ogromny wilczura.

Kazałem więc furmanowi stanąć, zesunąłem się ze sanek i zatrzymałem się na drodze, furmanowi zaś kazałem dalej spory kawałek ujechać. Gdy wilk spostrzegł, że staję na drodze, stanął też i sobie — ponieważ ten czas wydał mi się już trochę za długi, więc począłem pomaleńku posuwać się bliżej ku wilkowi. Wilk zaś zauważywszy moje manewry, skoczył z drogi w bok, w las — i tylem go widział.

Wszelkie poszukiwania i tropienia były nadaremne, wilk przepadł i więcej go nie widziałem.

To był jedyny wypadek przez 15 lat mego pobytu w górach, że wilka widziałem jak za sankami sunął — ale o atakowaniu człowieka i mowy nie było.

Nie było nigdy wypadku tak w porze dziennej, jakoteż i nocnej, aby tak ja, jakoteż rozmaici inni ludzie jeżdżąc po 35 kilometrowej długości drodze wyłącznie lasami. byli kiedykolwiek przez wilka atakowani, podobnego wypadku nigdy nie było, pomimo, że jak już poprzednio wposmniałem, wilków było dość, bo raz 7, potem 11, następnie 14, a obecnie 2.

Zgładziłem tedy przez przeciąg 15 letniej mej żmudnej a nader forsownej pracy, 32 wilki a nawet raz wilczycę z siedmiu już dobrze rozwiniętemi wilczątkami.

Zdaje mi się, że gdyby tak tych łotrów nie niszczono i gdyby była ta cyfra wilków pozostała przy zdrowiu i swoim normalnym a przytem progresywnym rozwoju, to obecnie niemożliwem by było drogę przejść, a zamiast mieć zwierzostan jeleni, mielibyśmy zwierzostan wilczy —

i kto wie, czy wtedy nie porywałyby się i na ludzi, jak to ma miejsce na Podolu i stepach rosyjskich lub węgierskich.

Wilk jednak stepowy jest zupełnie odmienny od naszego wilka karpackiego; wilk nasz jest o wiele większy, ciemniejszy w ubarwieniu i tchórzliwy, wilk zaś rosyjski znacznie mniejszy, jasnego koloru a co najgorsze zuchwały porywający się często i na ludzi, w szczególności, jeśli jest dobrze wygłodniały.

Nie sztuka więc ubić szaraka, nie sztuka rogacza, nie sztuka i jelenia podejść, jak ryczy, nie sztuka zwalić mysia, jak się w lecie pasie na polankach, nie sztuka upolować a raczej struć rysia lub lisa, ale jest sztuką nad sztukami myśliwskiemi upolować jakkolwiekbądź, strzałem, trutką lub w żelaza, wilka.

Na koniec muszę przytoczyć jeszcze jeden epizod z mej nocnej wyprawki myśliwskiej na wilki.

Przy jasnej nocy zimowej, można czasem na zasiadce lub ostrożnej buszówce spotkać drapieżnika, chociaż strzały są zwykle niepewne, a przy mroźnych nocach, gdy śnieg pod nogami skrzypi, niepodobna podeść.

Pomimo bardzo częstych a zwykle nieudałych takich wycieczkach, skorci nieraz człowieka znowu wyjść chyba po to, aby dobrze zziębnąć, noc stracić i z niczem do domu wrócić.

Przed dwoma laty wybrałem się był w taką cudną jasną noc, z p. K. na wycieczkę nocną do lasu w nadziei, że może gdzie z wilkami się zdybiemy.

Niestety po kilkogodzinnym spacerze nie spotkaliśmy absolutnie nic. Wracając już około 2-giej w nocy do domu usłyszeliśmy, że jedzie ktoś w tyle za nami, sankami z dzwonkami.

Odskoczyliśmy tedy na bok w las i skrywszy się za świerkami, poczęliśmy naśladować dość udatnie wycie wilków.

Sanki, które nadjechały, wiozły żyda przedsiębiorcę wywózki kloców w zrębach S. W.

Potrzeba było widzieć „stracha“ tego, który ogarnął żyda, chwilkę wsłuchiwał się, co to za głosy, nareszcie zmiarkowawszy, że to głosy wilków, obrócił biczysko batoga grubszym końcem, począł prać konie, które mało ze skóry nie wyskoczyły, wrzeszczał w niebogłosy, wołając „Gewałt ajwaj“ przeszło godzinę, aż się dobił do karczmy w Sołotwinie. Pozostawiwszy konie na podwórzu, począł bić pięściami o okno, wołając „Srueł łos aran, die wowkes fressen mech auf“, poczem wpadł do chałupy prawie nieżywy, co też odchorował.

Powiada przysłowie, że „strach ma wielkie oczy“, tak też u tego żyda było, opowiadał niestworzone rzeczy, że opadła go cała banda wilków, może 6 a może i 10 a może i więcej wilków, nie chciały ustąpić z drogi i że może swe życie zawdzięczać tylko biednym koniom, które uciekając należycie, zdołały go obronić przed wczesną śmiercią. Ja zaś z p. K. śmiałem się w duchu, co niemiara a po pewnym czasie. opowiedzieliśmy żydowi, jak faktycznie sprawa się miała.

Żyd nie chciał wierzyć, bo przecież wilki widział na oczy; (te, których nigdy niebyło) twierdząc „Puretz ticzet mir den Kop niszt verdrajen, echem taki sełber die wowkes gesejen“.

Napomknąłem tu o tym frazesie tylko z tego tytułu, że o wilkach opowiadają nieraz straszliwe sceny, co do ich zuchwałości wobec ludzi, jest to wogóle co najmniej przesadnem, a u wilka karpackiego wręcz wykluczonem, żeby się kiedykolwiek na ludzi porywał.

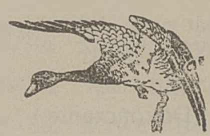
Dla każdego zaś zwierzostanu pozostanie każdy wilk największym i najstraszniejszym wrogiem.

Powinno się tedy starać wszelkiemi siłami tego wroga wyniszczyć.

Jednakowoż, jeśli żmudna ta a nader uciążliwa praca nie będzie ze strony kraju i rządu odpowiedniemi premiami (za wilka przynajmniej 50 K. a za wilczycę 100 K.) wynagradzaną, tak długo nie pozbędziemy się tych łotrów a przeciwnie będą się mnożyć, jak i dotychczas w wielu rewirach rozległych lesistych a niedostępnych Karpat się dzieje.

Wydział naszego Towarzystwa Łowieckiego powinien tedy postarać się przy teraźniejszej zmianie ustawy łowieckiej, sprawę tępienia wilków poruszyć i u właściwych Władz odpowiednie premie wyjednać.

Jan Marcinków
delegat pow. dolińskiego.



„ŁOWIEC POLSKI“.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE

1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

10. sierpnia. Kob, na którego polowałem dnia poprzedniego, powrócił dziś rano o wschodzie słońca, lecz padł od kuli Guy'a; przebiła ona serce i wyszła łopatką. Był to przepyszny samiec, mierzący w kłębie metr i 36 centymetrów; rogi zaś były wysokie na 69 ctm. Małżonka jego zjawiła się wkrótce, widocznie w poszukiwaniu męża.

Wyruszamy z obozu o godzinie 8 i pół rano po gwałtownej scenie z N'Doborosami, którzy nie chcą nas prowadzić do jeziora Olbolosat przez wspomniany powyżej wąwóz. Guy daje im rozkaz maszerowania naprzód i odbiera im lance. Równina, która, widziana z góry, wydawała się zupełnie płaską i łatwą do przebycia, kryje w sobie liczne wąwozy, gęsto zarośnięte. Przy przejściu trzeciego z nich, nasi niby przewodnicy prowadzą nas przez miejsce prawie niepodobne do przebycia, i w chwili, gdy z największą trudnością staramy się przeprowadzić tędy nasze wierzchowce, znikają w dżungli. W gruncie rzeczy byłam z tego zadowolona, bo włóczyć za sobą malkontentów stanowi zawsze kłopot niemały. O godzinie pół do drugiej przybywamy nad brzeg strumienia, gdzie rozbijamy obóz w cieniu juniperusów, u stóp urwistej skały, z której wysokości piękny guib *(Tragelaphus scriptus)* przygląda się nam ciekawie. Jest to już drugi, widziany dnia tego. Nadto spostrzegliśmy w oddali, w pośród juniperusów, stado małp *(Colobus guereza)*, które jednak zejść się nie dały, a kule Guy'a, strzelane na tę odległość, nic im nie zrobiły.

11. sierpnia. Wychodząc rano o godzinie 7-mej ze swego namiotu, Henryk patrzy na termometer, który wskazuje zaledwie 1° powyżej zera; na dworze widać biały mróz!

O godz. 8 i pół słońce grzeje już bardzo, niebo jest niezwykłej czystości, a Kinankop zarysowuje się nadzwyczaj jasno. Cały krajobraz ujęty w ramy gór, jest dziwnie wesoły; prześliczne łąki przypominają miejscami pola dojrzałego owsa, to znów różowią się i zielenią, niby sztuczne trawniki; po brzegach lasów rozchodzi się silny zapach jakiegoś różowo-białego jaśminu, na którego gałązkach jeżą się olbrzymie kolce; a wszędzie widać tropy nosorożców tak liczne, jak nigdzie przedtem.

Zaledwie weszliśmy do wysokiego lasu, gdy Henryk wskazuje nam stado guerez (małp, o których przedtem mówiłam); rozlega się kilka strzałów i dwie guerezy spadają z pod stropu nieba na ziemię. Szczęśliwym trafem nazwać można, żeśmy je tak łatwo dostrzegli, gdyż ich białe ogony i burnusy zlewają się doskonale z barwą lichenów na świetle, gdy jednocześnie reszta ciała, zupełnie czarna, niknie w cieniu liści.

Pod olbrzymimi juniperusami roztaczają się prawdziwe sklepienia bambusów, a pod bambusami widać niby miękki dywan — rozmaite paprocie, ślazy (*Adyanthum*) i.... pokrzywy.

Nieco dalej spotykamy znów guerezy. Cóż to za znakomici akrobaci z tych małp: skaczą one na niemożliwe odległości z jednego drzewa na drugie. Zabijamy jeszcze trzy sztuki.

Kierując się kompasem, przebywamy zarośla bambusowe, coraz to gęstsze, aż nareszcie dostajemy się na niewielką przełęcz zalesioną, po za którą Guaso-Narok posiada jedno ze swych źródeł. Spuszczamy się nieco na dół, aby mieć doskonałą wodę, i rozbijamy obóz nad brzegiem strumienia pod juniperusami. Guy bierze kąpiel w wodzie, jak lód, zimnej, poczem siadamy do preparowania guerez.

12. sierpnia. Wyruszamy w drogę o godzinie 8-mej rano. Po kilkakrotnem przebyciu urwistych brzegów wąwozu, decydujemy się iść łożyskiem strumienia; jest to najpewniejsza i najkrótsza droga. Brzegi są pokryte malinami, koniczyną i gwiazdoszem. Guy zabija kaczkę na obiad.

O pół do dwunastej siadamy znów na wierzchowce i maszerujemy do pół do pierwszej. Nie widać już jeziora Olbolosat, któreśmy obserwowali dotychczas z wysokości, natomiast rozciągają się przed nami góry Aberdare, mieniące się różnemi odcieniami zieleni pod wpływem rozmaitych faz burzy. Guy strzelał do antylop—bohorów (*Cervicapra redunca-wardi*), które piły wodę w strumieniu.

Krajobraz urozmaicają liczne stada bydła, należące do Massajów. Udajemy się do kraalu, który znajduje się o 10 minut drogi od obozu. Składa się on z chat formy kubicznej, zrobionych z kolczastych gałęzi, obłożonych pomiotem krowim, który je czyni nieprzepuszczalnemi, lecz zarazem bardzo lepkiemi podczas deszczów. Bardzo nizkie drzwi pozwalają wchodzić tylko na czworaka. Wszystkie te domki z piernika tworzą rodzaj kolistej osady, w środku której znajduje się miejsce, zamknięte płotkiem z kolczastych gałęzi. Drzwi chałup zwrócone są do wewnątrz, a wejście do kraalu podobne jest do otworu konchy woluty. Była to właśnie chwila powrotu inwentarza z pastwiska, widzieliśmy więc kolejno przybywające krowy, woły, byki, osły i barany. Wszystko to lokuje się w ogrodzeniu wewnętrznem, z wyjątkiem bardzo młodych cielaków, które zabierane są do wnętrza domów, aby krowy miały mleko na jutrzejszy, ranny udój. (Mleko, krew bydlęca i mięso baranie stanowią zwykły pokarm Massajów. Ażeby dostać krwi bydlęcej, robi się przewiązka wkoło gardziela, poczem jeden z wojowników wbija strzałę poniżej, przewiązkę się zdejmuje i krew płynie strumieniem).

Kobiety massajskie podobne są nieco do rycerzy w pełnym rynsztunku. Ręce i nogi są okręcone grubemi, jak lufy mannlichera, drutami. Noszą też podobnej fabrykacyi olbrzymie naszyjniki à la Franciszek I. jako uzupełnienie tego stroju, wymienić muszę koła w nosie i kolczyki w uszach. Barania skóra bez wełny, pociągnięta tylko mieszaniną łoju z gliną cegielnianą, spięta jest na ramieniu i zawiesza się aż do kolan. Nawet małe dzieciaki noszą kozie skóry, ale również bez szerci. Wszyscy mężczyźni są w polu i dopiero jutro rano będziemy mieli zaszczyt uściskać ich dłonie i sposobność podziwiać ich marsowe postacie, ich ogromne lance, tarcze z bawole skóry, buńczuki z włosa małpy guerezy, ich czupryny napomadowane czerwoną gliną, zmieszaną z olejem kokosowym. Wszyscy Massajowie smarują sobie całe ciało tą samą mieszaniną, której używają do skór; chroni ich to od wilgoci i od... reumatyzmów.

13. sierpnia. Ruszamy w drogę jednocześnie z Massajami. Idą oni grupami, pędząc stada, złożone z tysięcy sztuk, które kierują nad jezioro Olbolosat. Stada te są pędzone przez dzieci i starców, którzy wyszedłszy już ze stanu rycerskiego, stają się pasterzami; noszą oni lance, łuki i kołczany, których wielkość jest dostosowaną do wielkości indywiduum.

Wśród tej wędrówki narodów trudno jest spotkać się choćby nawet z gazellą.

Po sześciogodzinnym marszu znajdujemy się nareszcie w sąsiedztwie jeziora, które zdawało się ciągle oddalać, w miarę jak posuwaliśmy się naprzód. Rozbijamy obóz u stóp łańcucha Settima, na wysokości południowego końca jeziora Olbolosat, gdzie też natrafiamy na namiot, rozbity w niedalekiem sąsiedztwie. Misyonarz dowiaduje się przez Massajów, że należy on do p. Gilkisona, „district oficera“ okręgu Laikipia. Przybył on tu, aby sprawdzić czy czasowe przesiedlenie się Massajów, odbywa się prawidłowo, gdyż cała ta równina, po której wędrujemy, począwszy od Kipipieri (13390 stóp nad poziomem morza), została wypuszczona jakiemuś syndykatowi. Misyonarz zna p. Gilkisona i przedstawia mu nas. Staramy się następnie dostać nad brzeg jeziora, lecz po drodze liczne stada gęsi, zrywające się na wszystkie strony, tak nas absorbują, że noc zapadła, zanim dotarliśmy do brzegu. Z wycieczki tej przynoszą także bardzo ładną, małą sieweczkę, posiadającą prawdziwe ostrogi na skrzydłach.

14. sierpnia. Dzisiaj nie ruszamy się z miejsca, tylko Guy wraz z misyonarzem udają się o 5-ej rano na zasadzkę na hipopotany. Udaję się łodzią o 7-ej na ich spotkanie, i po drodze po raz pierwszy słyszę w oddali ryk lwa.

Jakież było moje zdziwienie, gdy spostrzegłam, Guy'a idącego na moje spotkanie z zabitemi gęśmi, białemi ibisami i siewkami. Okazało się, że jezioro jest w tem miejscu okolone niedostępnemi błotami. Mysliwi musieli zadowolić się nasłuchiwaniem brodzących po trzcinach, hipopotamów. Decydujemy się przenieść nasz obóz więcej ku północy. P. Gilkison radzi nam posunąć się aż do rozgałęzienia się drogi (?!), prowadzącej do Laikipia. Objaśnia też nas, że jezioro Olbolosat przelewa się znacznie dalej do Guyaso-Narok seryą wspaniałych wodospadów, które

mamy zamiar zwiedzić z następnego obozowiska, jeśli czas na to pozwoli.

O 10-ej wyruszamy w drogę.

Przy pierwszem przejściu strumienia spostrzegamy na kwitnącym krzaku prześlicznego ptaszka brudno-czerwonego (*Drepanorhynchus Reichenowi)*, który pada od strzału Guy'a, równie jak i cztere inne z tego samego gatunku, zabite nieco dalej.

Jezioro w miarę zbliżania się ku górom, posiada brzegi coraz wyraźniejsze, aż wreszcie stają się one w zupełności dostępne, co pozwala Guy'owi i Henrykowi spuścić łódkę na wodę. Przywożą oni nurka i kurkę wodną, lecz wogóle ptaki te są bardzo trudne do podjechania i do zabicia. Guy miał zamiar wrócić na jezioro przed wieczorem, lecz potężna burza staje temu na przeszkodzie; zjadamy więc obiad i kładziemy się spać.

15. sierpnia. Ponieważ Guy wyrzekł się hipopotamów z jeziora Olbolosat, wyruszamy dzisiaj w drogę. Tym razem należy skończyć z łańcuchem Monts Aberdare, które przebywamy nareszcie i dostajemy się na płaskowzgórze, a ztąd do niewielkiej doliny, pokrytej bardzo urozmaiconą roślinnością. Porzuciwszy tę dolinę, wkraczamy znów na równinę, gdzie Guy zabija antylopę Jacksona i zebrę. Przedtem uganiał się napróżno za trzema strusiami. Rozbijamy obóz w miejscowości bardzo otwartej, zkąd można już widzieć górę Kenia.

(C. d. n.)

Wspomnienia myśliwskie z Węgier.

Extra Hungariam non est vita si est vita non est ita, i tak było w rzeczywistości dawniej w Węgrzech a raczej w Banacie w południowych Węgrzech, gdzie przeszło dwa lata jako wojskowy przebywałem. Szlachta bogata, chłop bardzo zamożny, szczycił się swoją magnateryą, która ostentacyę lubiła rozwijać tak w strojach jak w koniach i widać było tę obopólną sympatyę. Dziś zmieniło się tam jak i u nas, postarały się o to stronnictwa radykalne i socyalistyczne aby rzucić kość niezgody między stany.

Czasy do których memi wspomnieniami sięgam, dawno upłynęły; odnoszą się do lat od 1856 do początku roku 1859. Racyonalnego gospodarstwa myśliwskiego wówczas w Banacie niebyło, ale i kłusowników było niewiele, a że gleba żyzna a błota nad Cissą milami się ciągnące, więc zwierzyny wszelkiego rodzaju, prócz sarn, było bardzo wiele, a co do ptactwa błotnego wręcz bajeczna ilość i rozmaitość.

Najmilsze polowanie dla myśliwego jest błotne, i temu najwięcej się oddawałem. Myślę, że niejeden myśliwy przyzna mi chętnie, że tej emocyi gdy wstępując na błota „kszykszy“ usłyszy, z żadną inną porównać się nieda. Banat cały jest równiną bezleśną, glebą, która z namulisk dawnych powstała żyzna. Główna rzeka jest Cissa a kanał Bega który przeżynając Banat koło Nagy-Besskeret spławny, łączy Cissę z Dunajem, która zakolenie tworzy. Nad Cissą, ciągną się błota milami, ale i w oddaleniu od Cissy są błota, które uformowały się w zaklęśnięciach przez dość częste wylewy Begi i Cissy. To był teren dla mnie najulubieńszy do polowania na kszyki. Takie błota są bardzo obfite w zwierzynę skrzydlatą różnego rodzaju, są dostępniejsze i bezpieczne, gdy te nad samą Cissą mają topieliska tak zdradliwe, że nawet obznajomionym dobrze z terenem, nieradziłbym zapuszczać się na nie. Błota koło Nagy-Becskeret na których prawie w dzień w dzień od rozpoczęcia się polowania błotnego polowałem, są od miasta oddalone od 2 do 8 kilometrów, są to błotka o przestrzeni od 20-tu do 100 morgów, w samym środku więcej zagłębione i tam zatrzymuje się szmat wody wąski obrośnięty szuwarem, na tej wodzie masami kaczek różnego gatunku, po bokach zaś błotko z niską trawą, a po upalnem lecie tak wysuszone, że w bucikach chodzić można, bez zamaczania nóg, i niedouwierzenia, że na tej łączce kszyk na kszyku siedzi a nad wodą idąc pies wygania co moment kaczki. Polowanie tam jest idealne a zarazem nienużące. Dla odpoczynku szedłem do winnic, które zwykle koło takich błót się znajdują, bo prąd wody przed wiekami wyrywając ziemię z zagłębień osadzał ją na brzegu, formując małe wzniesienia, które do uprawy wina, kawonów i melonów, bardzo się nadają.

Gościnność Serbów (gdyż Banat przeważnie przez Serbów zamieszkany) przechodzi wszelką gościnność polską, bo dla zamożności chłopa, jest ogólną. Najpiękniejsze grona i kawony sam właściciel mi przynosił, i nigdy zapłaty przyjąć nie chciał.

Bagna takie są oddalone jedno od drugiego o jeden do dwóch kilometrów, to też spolowawszy jedno, przechodziłem do drugiego — a mój służący miał nieraz porządnie co dźwigać, tak, że przez wzgląd na niego, kaczek jak najmniej strzelałem.

Raz skarzyłem się myśliwemu miejscowemu, że jakoś na dubelty natrafić nie mogę, tenże wskazał mi błota oddalone o jakie 15 kilometrów od Nagy-Becskeret, mówiąc, że tam dubelty zastanę.

Od dłuższego czasu trwały niezwykłe upały, jednego dnia po południu wynająwszy wózek, kazałem się wieść na wskazane mi błota, ujechawszy może jakie 6 kilometrów od miasta widzę w oddaleniu może 500 metrów ogromny staw otoczony wierzbami i krajem porośnięty szuwarem, ale tak dokładnie, że widzę trzęsące się listki na wierzbach i szuwar kołyszący się od wiatru, którego wcale nie było. Mówię memu serbowi, żeby do tego stawu jechał, on zaś się śmieje i mówi: „tam stawu niema, to złuda“, pomimo tego jedziemy w kiernnku stawu, a ten przed nami ucieka. Była to śliczna fatamorgana, którą w Banacie w latach upalnych jesienną porą, często obserwować można.

Polowanie na dubelty skończyło się na kszykach, a w ogólności przez dwa lata polując w Banacie, dubelta nie widziałem. Prawda, że dubelt ma zawsze uprzywilejowane błota, lecz znając gatunek takich ulubionych błot dubelta, nawet i na takich go nie znalazłem.

Gdy pora polowań na kszvki się skończyła, bo kaczki cały rok w Banacie się znajdują, a w zimie nad Cissą na strzał takie chmury się zrywają, że literalnie słońce zakrywają jak chmurą, zaczynałem polować na lisy, których w Banacie jest tak dużo, że wszystko co w przybliżeniu o tem się powie, na blagę wyglądać może.

W pewnem oddaleniu od Cissy rosną trzciny — jest to planta kilkanaście lat i dłużej rosnąca, która z latami co raz grubsza do 7 centymetrów obwodu dochodzi i jest jedynem opałem prócz słomy, w Banacie. Zajmuje przestrzenie ogromne z małemi przerwami. Kompleksy w jednym kawałku są od stu morgów do 40.000 morgów. Ciągną się te kompleksy trzciny (Ridt) w szerokości od 1 kilometra do 4 kilometr. Tam się wywodzi ta masa lisów a podówczas przed 50-ciu laty i wilków.

Ponieważ dochód z trzciny jest bardzo znaczny, właściciele tychże, wyrębują linię dla dozoru lepszego a zarazem dla polowania.

W trzcinach poluje się zwykle z gończymi psami, nagonką bowiem trudno dla gąszczu przejść. Lis goniony bezpośrednio, nie wychodzi na linię ale często o dwa trzy kroki wzdłuż lini przed psami idzie i strzela się go na chybił trafił tam gdzie trzcina się chwieje. Psów bierze się zwykle dwa; lis idzie przed psami o kilka kroków, psy głoszą, niebezpieczeństwa zabicia psa niema, tym sposobem strzelając zabiłem kilkanaście lisów. jak wyżej wspomniałem jest ich bardzo wiele, to też gdy jednego psy gonią, inne wynoszą się z miotu do miotu i dlatego strzelanie jest gęste.

W zimie z 857 na 58 rok wilków było bardzo wiele, nietylko że szkody robiły w bydle, ale również i w ludziach były ofiary. Skargi były częste, toteż starostwo w Nagy-Becskeret zarządziło obławę w lutym.

Jako oryginalne polowanie, w którem udział brałem, pozwolę sobie je opisać.

Położenie terenu do polowania tego, zamknięte jest czterema miejscowościami stanowiącemi czworobok miejscowości Nagy-Becskeret, Mokoin, Elemir i Eska, leżą od siebie jedna od drugiej 20 do 25 kilometrów, teren do polowania w środku zajmował 500 — 800 kilometrów kwadratowych, zarośniętych w mniejszej połowie trzcinami. Ten cały teren umyślił Starosta z Nagy-Besskeret imieniem Lorenc, urodzony Serb, wziąść w jeden kocioł. Zarządził, aby o godzinie 7-mej rano pogonka wyszła równocześnie z wyżej wymienionych miejscowości i łączyła się w koło. W Banacie wsie są bardzo rzadkie, ale bardzo ludne, prawie miasteczka ze sklepami, nawet z przedmiotami zbytkowymi. Nagonki było zatem do 15.000 ludzi a między pieszą nagonką kilkuset Cikoszy na koniach, głównie ogierach gminnych lub własnych.

Jak wyżej wspomniałem było to w karnawał, a karnawał w Węgrzech w mieście jak Nagy-Besskeret, gdzie wówczas dla braku łatwej komunikacyi i kolei, mieszkała cała arystokracya okoliczna, gdzie też swoje wille posiadała, był zwykle więcej ożywionym jak we Lwowie lub Krakowie. Węgierki lubią się bawić i tańczą namiętnie. Nie było dnia bez balu, a ja żadnego nie opuściłem. Zmęczony balami codziennemi — aby i polowania nie opuścić, w wilię polowania o 4-tej z rana poszedłem do siebie przespać się parę godzin. Służącemu nakazałem aby mnie obudził o 7-mej bo o 8-mej był termin zboru o parę kilometrów od miasta. Służący mój miał rozkaz w razie potrzeby oblać mnie wodą i uciekać. Niemogąc mnie dobudzić, uciekł się do ostateczności, oblał mnie, zerwał kołdrę i w nogi. Obudzony tak nielitościwie zerwałem się i na wpół przytomny wybiegłem za nim na dziedziniec śniegiem małym przykryty i tu dopiero przyszedłszy do siebie, śmiać się z mego położenia zacząłem.

Myśliwi każdy na swoim wózku, aby po zamknięciu koła, ku środkowi jechać, zebrali się na oznaczonych stanowiskach, ja byłem w bezpośredniej bliskości sztabu głównego Starosty Lorenca.

(Dok. nast.)

II. Zjazd balistyków niemieckich

w stacyi doświadczalnej Neumannswalde, dnia 29., i 30. Maja 1905.

Już raz zdawałem w łamach „Łowca“ sprawę z pierwszego zjazdu balistyków niemieckich, to też sądzę, że nie bez interesu będzie sprawozdanie z drugiego zjazdu, który się odbył w czasie 29. i 30. Maja w Neumannswalde.

Już półtora roku temu zacząłem pisać to sprawozdanie, ale z wielu przyczyn, natury prywatnej nie mogłem go dokończyć i czynię to teraz, chociaż nieco późno.

Stacya doświadczalna w Neumannswalde zrobiła w roku 1904. nieśmiałą próbę połączenia możliwie wielu interesowanych w celu wzajemnej wymiany doświadczeń praktycznych, jednolitego unormowania metod doświadczalnych, jak w ogóle dla dalszego rozwoju, ze wszech miar trudnego, ale i wielce zajmującego pola *balistyki praktycznej*. Żywe zajęcie się sprawą ze strony uczestników zjazdu, było najlepszym dowodem aktualności tego przedsięwzięcia. Dowodem oceny fachowych wiadomości stacyi doświadczalnej w Neumannswalde była ta okoliczność, że prawie wszystkie fabryki prochu, które brały udział w zeszłorocznym zjeździe, przyjęły metodę doświadczalną tejże stacyi. Lecz dopiero udział w drugim zjeździe mógł wydać stanowczy sąd o wartości tego przedsięwzięcia.

O praktycznej wartości takiego zjazdu świadczy najlepiej ta okoliczność, że pomimo iż maj i czerwiec są dla fabryk prochu głównym sezonem, to jednak na zjazd tu przybyli, prócz pp. dyrektora Engla z Reichenstein i nadinżyniera Fugera, który z przyczyn zawodowych przybyć nie mogli, wszyscy uczestnicy zjazdu z r. 1904 a nadto fabryka prochu w Rottweil przysłała jeszcze drugiego zastępcę w osobie p. majora Schnittepahna.

O ile w r. 1904. można było zauważyć u delegatów pewne rezerwujące się wyczekiwanie, tak zjazd drugi odbył się pod znakiem wzajemnej ufności i szczerego zajęcia się dobrą sprawą.

Naturalnie, że sprawy poruszone na tym zjeździe nie mogą zająć szerokiego ogółu myśliwych, gdyż nie poruszano tu popularnych tematów działania amunicyi i broni, ale kwestye dla laika nieprzystępne, odnoszące się do metod mierzenia, doświadczeń fizykalnych i balistycznych, wpływów meteorologicznych i t. p.

Każda stacya doświadczalna, choćby nader prymitywnie urządzona, zaimponuje laikowi, — ale też skrzętnie zamknie drzwi przed nosem fachowca; nie z obawy podglądnięcia swych tajemnic, ale z obawy przed krytyką. Nawet na zjeździe słyszało się nieraz tak drastyczne zdania o doświadczeniach, że należy przypuszczać, iż gdzieniegdzie obchodzono się z aparatami mierniczemi prawdziwie po macoszemu, nie mówiąc już o wejściu w istotę doświadczeń.

Uczestnicy zjazdu są technicznymi kierownikami fabryk prochu, więc fachowcami i najczęściej specyalistami i w pewnym kierunku, to też może nie raz mały sztyfcik przy aparacie, użycie formułki matematycznej, lub zestawienie tabeli i t. d., dawały powód do bardzo wyczerpującej dyskusyi.

Instytut, który się nie boi krytyki swych metod doświadczalnych przez takich specyalistów, nie potrzebuje chować światło pod korzec.

W zjeździe brali udział pp.:

Major Schnittepahn, techniczny dyrektor połączonych fabryk prochu w Kolonii i Rottweil, Banza zastępca pod. fabr. pr. w Kol. i Rottweil, Gosse fabr. br. Walsrode, Hölzer Reńsko-Westfalskie tow. akc. materyałów wybuchowych. Hakanson, zastępca szwedzkich fabryk broni i amunicyi, Böhm Westfalsko-Anhaltskie tow. akc. materyałów wybuchowych, Walbingez fabr. amun. i patr. w Bischweiler w Alzacyi, Schmidt; fabr. patr. Hasloch nad Menem, Castenholz, dyrektor fabr. amun. Schönebeck nad Łabą, Ahlers, kapitan po za służbą, jako sekretarz; — nadto jako wolontaryusze, interesujący się sprawą: jenerał major do dyspozycyi v. Gayl z Cerlina, rotmistrz na pensyi Badicke z Schönfeld, p. Kind z Hunstig, v. Sothen, naczelny redaktor „Deutsche Jäger Zeitung“ i radca handlowy Neumann z Neudamu.

Małe, ale dobrane towarzystwo.

Kierownik stacyi powitał zebranych, wyrażając nadzieję, że przebieg obecnych obrad będzie równym przedrocznemu i podniósł jako dowód zaufania, że prawie wszyscy uczestnicy zeszłego zjazdu przybyli a nawet kilku nowych, cennych fachowców.

Po przemowie wybrano p. Banzę przewodniczącym p. kapitana Ahlersa sekretarzem.

Porządek dzienny opiewał:

1. Doświadczenia uczynione z normami badania, (chyżości strzału śrutowego, proponowanemi przez stacyę na zjeździe 1904.
2. Wartość rozmaitych przyrządów do mierzenia ciśnienia gazów i wypracowania jednolitych metod mierzenia.
3. Produkcya kilku nowych przyrządów mierniczych.
4. Sprawa kalibrów.
5. Wpływy atmosferyczne na osiągnięte wartości miernicze i wnioski na sposoby usunięcia tych wpływów.
6. Omówienie nowości w dziedzinie broni i amunicyi.
7. Fotograficzne zdjęcia strzału śrutowego.
8. Rozmaite.

Ad. 1. Wszyscy uczestnicy zgodzili się na normy doświadczalne, zaproponowane przez stacyę doświadczalną na zjeździe 1904, specyalnie korzystne doświadczenia zrobiono z krążkiem stycznym (Rontaktscheibe), skontruowanym przez kierownika stacyi i metodą mierzenia strzału śrutowego v. 12·5. Zalety tego przyrządu podnoszono wielokrotnie. Jako minimum pracy (Leistung) oznaczono w roku 1904 — 275 ms., przy + 15°C i 760 ᵐ/ₘ stanu barometrowego (= 1518 g ciężaru powietrza). Ponieważ ta granica minimalna nie ma praktycznego znaczenia, postanowiono ją znieść.

2. *Kaliber śrótówek.* Jest to jedna z najtrudniejszych i najbardziej piekących kwestyi. Od 1. kwietnia 1905. miały wszystkie fabryki amunicyi i broni zaprowadzić nowe normy kalibrowania komory śrutówek. Stacya doświadczalna dała wyraz swym wątpliwościom w tej sprawie, w Nr. 1. „Schiesswesen“ z 15. kwietnia 1905. Rada nadzorcza fabryk w Suhl trwa jednak przy tym zamiarze. Ponieważ ta sprawa jest nader ważną dla fabryk łusek, które tu licznie zastąpione były, postanowiono ten temat wyczerpująco omówić. Stacya miała pod ręką najnowsze lufy Purdeya, Greenera, Jefferyego, Winchestra, Marlina, Browninga, jakoteż pewną ilość luf pierwszorzędnych firm niemieckich; obok próżni normalnych Loewego, Joyce & Co., i Sauera. Również zastępcy fabryk amunicyi mieli ze sobą najnowsze próżnie, przez nich używane. Porównanie próżni z komorami luf wykazało, że powątpiewania stacyi były słuszne.

Rezultat badań został umieszczony w protokole, podpisanym przez wszystkich uczestników i przesłany radzie nadzorczej fabryk broni w Suhl. Dalsze rokowania w tej sprawie powierzono stacyi doświadczalnej.

Korespondencye.

Kwestya dzicza.

W Nr. 6 „Łowca“ z dnia 16. marca b. r., Pan dr. Władysław Sołowij, omawiając „kwestyę dziczą“ i 4 projekty jej rozwiązania, wyraził zdanie, że byłoby wskazanem, by czytelnicy „Łowca“ jeszcze inne projekty od siebie zapodali.

Ponieważ dotychczas nikt więcej odemnie interesowanych, w tej sprawie, o ile zauważyć mogłem, głosu nie zabierał, pozwolę sobie na poddanie pod łaskawą ocenę i krytykę Szanownych czytelników „Łowca“ następujących moich zapatrywań:

§. 47 lit. a. ustawy łowieckiej z dnia 5. marca 1897, dz. u. kr. Nr. 71 przerobićby można w ten sposób:

„Wszelkie szkody przez dziki zrządzone, wynagrodzić są zobowiązani i ponieść koszta dochodzenia, w razie skonstatowania rzeczywistej szkody, wszyscy właściciele lasów, którym przysługuje w myśl §. 3. lit. a. ustawy łowieckiej, wykonywanie prawa polowania w tychże lasach w sposób samodzielny, jakoteż wszyscy dzierżawcy polowań gminnych lub wydzierżawionych prywatnych, jeśli posiadają co najmniej 115 hektarów przestrzeni leśnej w nieprzerwanej przestrzeni, a to w promieniu 10 kilometrowym od miejsca wyrządzonej przez dziki szkody, bez względu na to, czy dziki hodują czy nie, o ile nie udowodnią, że w lasach, które posiadają, dziki wcale nie przebywają.

Wyż wymienieni obowiązani będą sumę szkód i kosztów postępowania pokryć w stosunku do posiadanej przez nich ilości morgów lasu w promieniu tych 10 kilometrów od miejsca wyrządzonej szkody“.

Druga część §. 47 lit. b. odpadłaby znpełnie, jako mogąca dać pole do nadużyć tym, którzy bezpłatne certyfikaty myśliwskie dostaną. — §§. 48. i 49. ustawy łowieckiej, nie posiadają zdaniem mojem w sprawie dziczej praktycznej doniosłości, bo wszyscy wiedzą, jak wyglądają i jakim uwieńczone bywają skutkiem obławy z urzędu zarządzone.

Ponieważ zaś „Postępowanie“ przepisane §. 57—63 ust. łowieckiej w dochodzeniach szkód przez zwierzynę zrządzonych, dotyczące także szkód przez dziki zrządzonych, a powołujące w pierwszym rzędzie do urzędowania reprezentacye gminne przewlekają sprawę, tak, że nieraz Starostwo szkody sprawdzić już nie może, bo uszkodzone plony dawno zebrane, a pole przeorane, przeto w miejsce §. 48. w sprawie szkód przez dziki zrządzonych, możnaby umieścić:

„Doniesienie o wyrządzonej przez dziki szkodzie, winien wnieść poszkodowany do c. k. Starostwa pod nie-

ważnością skargi do dni trzech od dnia wyrządzonej szkody.

Doniesienie ma zawierać:

1) Orzeczenie taksatorów gminnych, zaprzysiężonych co do wysokości wyrządzonej szkody,

2) Poświadczenie zwierzchności gminnej, kiedy ta rzeczywiście wyrządzoną została,

3) Przypuszczenie z czyich lasów dziki ją wyrządziły.

Starostwo do dni 14 od wejścia doniesienia o szkodzie, rozpisze i przeprowadzi dochodzenie komisyjne na miejscu, celem stwierdzenia szkody; odpisy rozpisanego dochodzenia i wniesionej skargi o odszkodowanie, prześle natychmiast dotyczącej zwierzchności gminnej, poszkodowanemu, właścicielom lasów i dzierżawcom polowań leśnych, w myśl §. 47 do odszkodowania zobowiązanym.

Zarazem oznajmi c. k. Starostwo wyż wymienionym, że do dni 8-miu mogą sprawę ugodowo między sobą załatwić, lub też wnieść do ck. Starostwa na piśmie w tymże terminie przedstawienia i dowody, mające na celu wykazać, że dziki w ich lasach nie przebywają. W razie ugodowego załatwienia sprawy, zagodzony donosiciel tj. poszkodowany, winien najdalej dnia 10-go po rozpisaniu komisyi o zawartej ugodzie i wypłaconem odszkodowaniu donieść ck. Starostwu na piśmie, w razie przeciwnym ponosi kosztu bezowocnego delegowania komisyi.

Koszta odwołania komisyi w razie ugody ponoszą ugodę zawierający w równych częściach.

W miejsce dzisiejszego §. 49 umieścićby można o ile się rozchodzi o kwestyę dziczą:

W komisyjnem dochodzeniu wymienionem w §. 48 udział wziąć mają jako członkowie komisyi:

1) Urzędnik państwowy ck. Starostwa.

2) Znawca wyznaczony z grona właścicieli lub samoistnych gospodarzy większych posiadłości lub tegoż zastępca.

3) Dwaj zaprzysiężeni taksatorowie gminni.

4) Naczelnicy gminy w charakterze świadka.

Obecni być mogą przy dochodzeniu osoby obowiązane do odszkodowania lub ich upełnomocnieni zastępcy jako świadkowie czynności.

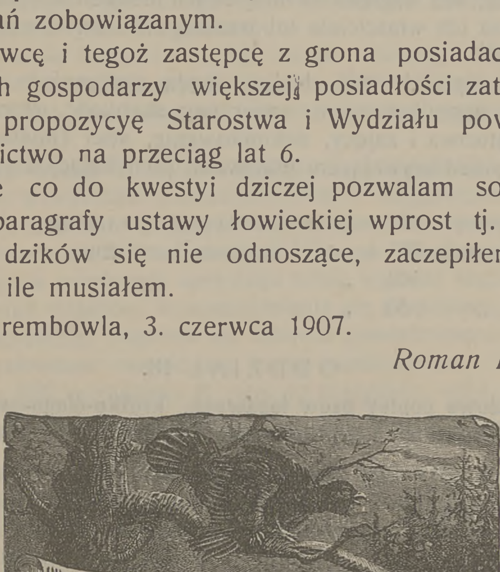
Na podstawie orzeczeń członków komisyi protokolarnie spisanych, po rozważeniu wniesionych przez obowiązanych do odszkodowania przedstawień na piśmie, wyda Starostwo do dni 30-tu orzeczenie, przeciw któremu przysługiwać będzie 14-dniowy rekurs do ck. Namiestnictwa, tak poszkodowanemu jak i osobom do wypłaty odszkodowań zobowiązanym.

Znawcę i tegoż zastępcę z grona posiadaczy lub samoistnych gospodarzy większej posiadłości zatwierdzi na zgodną propozycyę Starostwa i Wydziału powiatowego, Namiestnictwo na przeciąg lat 6.

Tyle co do kwestyi dziczej pozwalam sobie przedstawić; paragrafy ustawy łowieckiej wprost tj. bezpośrednio do dzików się nie odnoszące, zaczepiłem jedynie o tyle, o ile musiałem.

Trembowla, 3. czerwca 1907.

Roman Balko.



Słownictwo łowieckie.

A.

Achy, tak wyraża się odgłos rogu myśliwskiego. L.

Ahyżha, głos, którym się zachęca charta do ścigania zwierza U.

Alt, głos średni psa gończego. O.

Antaba, kabłąk u strzelby, który cyngiel ochrania. L.

Antenaire, p. *Sokół.*

Apel, albo **Przybywaj** p. *trąbienie.* Posłuch.

Aportowanie, sztuka wyuczenia psa myśliwskiego, aby rzecz rzuconą lub ubitego ptaka przynosił. U.

Arap, p. *Harap.*

Aras, p. *Rasa.*

Arkabuz, Harkabuz, Arkabuzik, broń ręczna ognista staroświecka, długości flinty lub muszkietu, osadzona na lawecie. L.

Awans, słowo rozkazujące wyżłowi, aby naprzód postępował U.

B.

Bączek, rureczka u osady strzelbowej, w którą się stempel wsuwa. L.

Bączyć, głos wydawać mówiąc o bąku ptaku. B.

Badyle, nogi jelenia. U.

Bagnetówka, strzelba opatrzona bagnetem. U.

Bakałarz, najstarszy z dojeżdżaczów. O.

Bałamut, pies gończy, który goni głosem za ptakiem. U.

Bałuch, odgłos rozchodzący się po lesie w czasie polowania U.

Bałuk, Bałyk, czołganie się psa legawego, np. na *bałuku* łazić. U.

Bałukować, albo **Raczkować,** czołgać się, mówiąc o psie legawym. U.

Baranek, p. *bekas.*

Barczyć lub **Obarczyć,** strzelając do ptaka trafić go tak w skrzydło, aby nie uleciał. L. U.

Bark, u zwierząt ssących wyższa i grubsza część nogi przedniej czyli łopatka U.

Bartnik albo **Mrównik,** niedźwiedź pospolity czarny, stąd nazwany, że miód i mrówki je. J.

Bas 1. głos najgrubszy psa, albo najniższy na trąbie myśliwskiej. U.

Basiur, Łupur lub dziki pies wilk. L. U.

Batalion, Bitny ptak lub **Bojownik,** ptak z rodzaju siewkowatych. J.

Bażantarnia, gaik i dom gdzie bażanty chowają K.

Bażantnik, człowiek mający staranie o bażantach. K.

Bębenek, wabik na kuropatwy; robi się z naparstka krawieckiego, który ma być z jednej strony obszyty irchą i na irsze napięty jest włos koński. U.

Bębnić, 1 głos wydawać, mówiąc o gołębiu; U. 2, gdy zając albo inne małe zwierzęta siedząc na tylnych nogach przedniemi biją po ziemi. U.

Beczyć, głos wydawać, mówiąc o sarnie i żubrze. B.

Bekać się, popęd płciowy zaspokajać, mówiac o jeleniu. L.

Bekas, ptak błotny, (Gallinago).

Bekasik ptak najmniejszy z bekasów dotąd zwany ficlaus.*)

UWAGA. Wyrazy początkowe oraz te, które drukiem tak zwanym kursywą oznaczone, są techniczne t. j. przez łowców używane. Litera p. znaczy patrz. B. znaczy, że wyraz wzięty jest z dzieła: Historye ucieszne o królowej Banaluce. G. z dzieła pod tytułem: Gospodarstwo jezdzieckie i t. d. J. z Zoologii Ks. Jundziłła. K. z dzieł Kluka. L. ze Słownika Lindego. M. z Myśliwca Bielowskiego. O. z dzieła Ostroroga. U. z używania myśliwych.

*) Nazwę ficlaus, nie polską nie właściwą, powinniśmy jaknajprędzej wyrzucić z naszego słownictwa. (*Red*)

Bekawisko, Rykowisko, miejsce schadzki jeleni i łań w czasie ich popędu płciowego. L.

Berdebuska, strzelba staroświecka. G.

Berlińskie żelazo, gatunek żelaza służący do łapania lisów, wilków itd. U.

Berło, narzędzie myśliwskie, to jest laska długa z krzyżem, na które się ptak drapieżny *unoszony* gwizdaniem przywabia K.

Bić, 1 głos wydawać, mówiąc o przepiórce, 2, strzelać, mówiąc np. strzelba dobrze *bije*. U.

Bicie, głos przepiórki. U.

Biegać się, popęd płciowy zaspokajać, mówiąc o sarnie. U.

Biegasowy Myśliwiec, będący pieszy na polowaniu. O.

Bieganie, czas popędu płciowego sarn. U.

Biegi, nogi wysokiego zwierza. U.

Bielak, z rodzaju zająca, na zimę zupełnie bieleje; znajdujący się w Litwie. J.

Bierczy, p. *chwatny*.

Biesiadować, przebywać w jakiem miejscu, mówiąc o ptaku np. upatrzyć siedlisko, gdzie głuszec *biesiaduje*. L.

Blacha, p. *Ławka*.

Blakowny, kolor zmieniony włosów zwierząt, np. lis w lecie *blakowny*. U.

Blizna, rowek czyli wycięcie na nasadzie (Aufsatz) sztućca. U.

Błotny dzik, w błocie lubiący przebywać. U.

Błytki, prędko zapalający się proch. U.

Bobrować, mówi się o wyżle, kiedy lotnej wodnej zwierzyny po wodzie i błotach szuka. U.

Bobrowe żelazo, pewny gatunek żelaznego narzędzia do łapania bobrów. U.

Bobrowisko, miejsce błotniste gdzie łosie podczas lata lubią przebywać. U.

Bobrownia albo **Bobrowy gon,** domek czyli gniazdo bobrów, które sobie nad brzegami wód stawiają. L.

Bobrownik, łowiec bobrów. L.

Bór, las iglasty t. j. sosnowy, świerkowy, jodłowy lub modrzewiowy. U.

Borowik, tak zowią w niektórych miejscach niedźwiedzia. U.

Borówka, p. *kniejówka*. 1.

Boruta, zły geniusz leśny, urojony przez myśliwych polskich, jak u dawnych Sylwan Faun i Pan dobre geniusze. U.

Boryś, człowiek borowy. L.

Brać, złapać jakie zwierze, mówiąc o chartach, np. chart *wziął kota*. U.

Brodzić, polować po błotach na lotną zwierzynę. U.

Brok, gatunek drobnego śrótu na ptaki. L.

Bronić się, uciec, mówiąc o zwierzu np. *kot obronił się*. U.

Brózdy, sidła na skowronki między zagonami stawiane. U.

Brożek, sieć pomniejsza na półobręczach okryta, służąca do łowienia ptaków K.

Brukać, głos wydawać, mówiąc o gołębiu. U.

Brykać, ulecić, mówiąc o ptaku, np. jarząbek *bryknął*. U.

Brytan, pies brytański, wielki, używany na dziki. B.

Brzechać lub **Szczegotać,** głos wydawać mówiąc o sroce. U.

Brzmić, głos wydawać, mówiąc o dzwońcu. B.

Brzyć, ziarna, które są na ponętę ptakom *w polku ptasznicze*m sypią. U.

Buchta, miejsce na ziemi od czarnej zwierzyny poryte. U.

Buda ptasznicza w ziemi wykopana, płótnem lub gałęziami okryta w którą się ptasznik chowa. K.

Buda Cietrzewia, kryjówka dla myśliwca pod drzewem, gdzie *maniak* jest wystawiony. U.

Buda wronia lub **ziemna,** w ziemi wykopana i darniną pokryta, w którą się ptasznik kryje, aby za pomocą sowy wysadzonej przez wierzchni otwór, wrony i inne ptaki zwabione mógł strzelić. U.

Budowisko czyli **Łom,** legowisko niedźwiedzia. U.

Buf, Buch, tak myśliwi wyrażają odgłos strzelania. L.

Bukiet czyli **Kwiatek,** ogon u jelenia.

Bukować, popęd płciowy zaspokajać, mówiąc o Łosiu. U.

Bydlarz, pies gończy, który porywa się do bydła, trzody itp. O.

Byk, jeleń U.

Bziknąć, gdy proch na panewce tylko spłonie bez zapalenia naboju, np. proch na panewce *bziknął*. L.

(C. d. n.)

Dział kinologiczny.

PROPOZYCYE

do międzynarodowych popisów psów legawych odbyć się mających w Bierzanowie pod Krakowem, w rewirach JWP. Czecza de Lindenwald, dnia 11 i 12. września 1907 pod protektoratem J. Ośw. Ks. Andrzeja Lubomirskiego.

ODDZIAŁ I.

Przegląd.

Do przeglądu tego dopuszczone będą wszystkie psy legawe tak ras niemieckich, jak angielskich, bez względu na wiek, maść i uwłosienie, hodowane „bona fide“ jako czysto rasowe, na udowodnienie czego rodowód nie będzie wymagany, Celem przeglądu tego jest nadanie psom rasowym, odpowiadającym przepisowym znamionom ras poszczególnych, prawa do wpisu w księgi rodowodowe Austr. Towarzystwa hodowli psów rasowych.

Przy przeglądzie tym nadawane będą klasyfikacye I., II i III stopnia, przez autoryzowanych znawców ras poszczególnych i uznanych przez Austr. Towarzystwo hodowli psów rasowych we Wiedniu.

Zgłoszenia do przeglądu są wolne od wpisowego. Psy przy przeglądzie odznaczone I., II i III. stopniem kwalifikacyjnym zostaną wpisane do ksiąg rodowodowych za opłatą 5 koron.

ODDZIAŁ II.

Międzynarodowe popisy psów legawych, krótko-długo-ostro-włosych niemieckich i gryfonów, pierwszego pola.

Do popisów tych dopuszczone będą psy ras powyższych, którym przy przeglądzie nadane zostanie prawo do wpisu w księgi rodowodowe, bez względu na miejsce ich urodzenia, oraz na miejsce zamieszkania ich właściciela lub tresera, urodzone nie przed 1-szym kwietnia 1906.

Przy popisach tych badane będą następujące uzdolnienia psów: Nos, sposób szukania zwierzyny, szybkość, wytrwałość, wystawianie ptactwa i zajęcy, sekundowanie, apel (posłuch), zachowanie się przed zrywającem ptactwem, pomykającym zającem i po strzale.

Wpisowe 30 koron, zawodowi leśnicy i treserzy płacą połowę.

I. Nagroda 200 koron i nagroda honorowa.
II. „ 100 „
III. „ 50 „

ODDZIAŁ III.

Międzynarodowe popisy psów legawych, krótko-długo-ostro-włosych, niemieckich i gryfonów bez względu na ich wiek.

Do popisów tych dopuszczone będą psy jak powyżej w oddziale II. wymieniono, bez ograniczenia ich wieku. Prócz uzdolnień psów w oddziale II. podanych, wymagane będzie aportowanie ptactwa i zajęcy, oraz szukanie i przynoszenie postrzałków, tak bez, jak i na tropie, aportowanie z wody.

Wpisowe 40 koron, zawodowi leśnicy i treserzy płacą połowę.
I. Nagroda 350 koron i nagroda honorowa.
II. „ 200 „
III. „ 100 „

ODDZIAŁ IV.

Międzynarodowe popisy psów legawych angielskich, krótkowłosych (pointerów) i długowłosych (setterów) pierwszego pola.

Postanowienia identyczne z postanowieniami Oddziału II.
Wpisowe 30 kor., zawodowi leśnicy i treserzy płacą połowę.
I. Nagroda 200 kor. i nagr. honorowa.
II. „ 100 „
III. „ 50 „

ODDZIAŁ V.

Międzynarodowe popisy psów legawych angielskich bez względu na ich wiek.
Postanowienia identyczne z oddziałem III.
Wpisowe 40 kor. zawodowi leśnicy i treserzy płacą połowę.
I. Nagroda 350 kor. i nagroda honorowa.
II. „ 200 „
III. „ 100 „

ODDZIAŁ VI.

Panowie prowadzą.

Do popisów tych dopuszczone będą psy legawe bez względu na rasę i wiek, pozostające w posiadaniu niezawodowych leśników i treserów i prowadzone przez panów. Postanowienia patrz z Oddziału II. i IV.
Wkładka koron 50.
Nadane będą cztery nagrody honorowe.

Ogólne postanowienia.

Zgłoszenia nastąpić mają najpóźniej do dnia 1 września 1907 w Galicyjskim Klubie hodowli i tresury psów myśliwskich we Lwowie ul. Jagiellońska 3 ustnie lub pisemnie przy równoczesnem złożeniu wpisowego.

Opóźnione zgłoszenia tylko w tym wypadku są ważne, jeżeli udowodnionem zostanie, że pisemne zgłoszenia wraz z odpowiednią kwotą pieniężną przed upływem wyż-wymienionego terminu na poczcie nadane zostało.

Zgłoszenia po upływie terminu oznaczonego mogą aż do do ostatniej chwili być uwzględnione, jednakowoż za złożeniem podwójnego wpisowego, zgłaszający zaś nie ma prawa wymagać, by zgłoszenie jego w programie popisów uwidocznionem zostało. Psy badane i sądzone będą tak pojedynczo jak i parami, a wylosowanie liczb porządkowych nastąpi przy starcie.

Każdy pies, który do popisu ma być dopuszczony, musi odpowiadać znamionom ras poszczególnych.

Do każdego z poszczególnych oddziałów, z wyjątkiem I-go i VI, wymaganych jest 10 zgłoszeń.

Sądzić będą fachowi znawcy wedle własnego uznania. Od popisów wykluczone są psy nierasowe, chore i cieknące się suki.

Formularze do zgłoszeń wysyła klub na żądanie, darmo i franco.

Z podpisaniem formularza zgłoszenia poddaje się zgłaszający bezwzględnie powyższym postanowieniom i orzeczeniom sędziów.

Oprócz nagród pieniężnych i honorowych, wydawane będą PP. właścicielom wedle uznania dyplomy, z pochwalnem uznaniem.

Zmiany w programie zastrzega sobie wydział klubu, ewentualnie kierownik popisów, w porozumieniu się z sędziami, a o zmianach tych uczestnicy popisów na miejscu pywiadomieni zostaną.

Psy zgłoszone stawić się mają punktualnie w środę dnia 11. września 1907 o godzinie 8. rano do przeglądu, skąd po odbytej klasyfikacyi wyruszy się w rewir.

Wiceprezes: Prezes:

Albert Mniszek. *Stanisław Matkowski.*

Nekrologia.

†

Jan Sołowij

Z szeregu prawdziwych myśliwych porwała nieubłagana śmierć śp. Jana Sołowija. Nieboszczyk wzrastał w najlepszych naszych tradycyach myśliwskich i od lat chłopięcych prawie brał udział i patrzał na takie łowy, jakie za życia śp. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego widziały knieje poturzyckie, to też taką szkołę przeszedłszy śp. Jan Sołowij jako dzierżawca dóbr Boratyn w sokalskiem, a następnie Kamionka w rawskim powiecie zasłynął nie tylko, jako wzorowy gospodarz-rolnik i zawsze chętny do pełnienia usług dla sprawy publicznej obywatel, ale także jako gorliwy i doskonały hodowca zwierzyny i namiętny myśliwy, rozmiłowany w tej szlachetnej zabawie.

Polowania w Kamionce zjednały sobie zasłużoną sławę w bliższej i dalszej okolicy powiatu rawskiego i wśród licznego grona przyjaciół zmarłego.

Lecz więcej, niż ilość zwierzyny i umiejętnie prowadzone polowania ściągały do Kamionki gości i jednały Janowi Sołowijowi serca ludzi nieporównane przymioty jego duszy i umysłu.

Serce dla wszystkich otwarte, szczerość i wyrozumiałość, a z drugiej strony umysł żywy i jasny, patrzący na rzeczy trzeźwo, a idący z postępem czasu nie pozwolą nam zapomnieć tego wzorowego obywatela i myśliwego.

Cześć Jego pamięci!

Nowe książki.

Kilka słów o wściekliźnie przez Józefa Białynia Chołodeckiego nakładem gal. Towarzystwa ochrony zwierząt.

Autor przytacza szereg dat statystycznych, przechodzi następnie do opisu objawów i przebiegu wścieklizny. wspomina o środkach leczniczych i podaje cały szereg zarządzeń ochronnych zdolnych, jeżeli nie zupełnie wyplenić, to przynajmniej zredukować ad minimum wypadki tej strasznej choroby.

Zwracamy uwagę na poruszoną w broszurce myśl zaprowadzenia w całym kraju, we wszystkich gminach opłaty od psów (o ile takowe nie są zbędne dla celów gospodarczych lub zarobkowych) jako środka redukującego ilość psów po wsiach i miastach i zapobiegającego tem samem wytwarzaniu się tak szkodliwej kategoryi psów włóczęgów, psów bezdomnych, właściwego rozsadnika wścieklizny.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**